

Jelenia Góra na Dachy Afryki

W sobotę 3 lutego 2018 roku, po pięciu dniach marszu, wszedłem na Uhuru Peak najwyższy wierzchołek Kilimanjaro położony 5895 metrów n. p. m. Jako mieszkaniec Jeleniej Góry postanowiłem wnieść na szczyt coś związanego z naszym regionem. Najwłaściwszym wydało mi się zabrać koszulkę z napisem Jelenia Góra w Karkonoszach. Była to ta sama koszulka, w której dotarłem na najwyższej położoną na świecie przejezdną przełęcz Khardung La na wysokości 5600 metrów n. p. m. gdy w lipcu 2017 roku wędrowałem w Himalajach. Oczywiście warunki pogodowe panujące na wysokości prawie 6 kilometrów nie zachęcają do przebierania się, dlatego koszulkę założyłem na siebie tuż przed wyjściem z bazy na atak szczytowy. Nie była to jedyna koszulka jaką miałem na sobie. Oprócz niej włożyłem siedem warstw ubrań plus dwie kurtki. Do zdjęcia pozwoliłem sobie zdjąć obie kurtki. Nie trwało to jednak zbyt długo bym nie wychłodził zbytnio organizmu.



Jelenia Góra na Uhuru Peak, najwyższym wierzchołku Kilimanjaro o wysokości 5895 metrów n.p.m.

Foto: Krzysztof Tęcza

Kilimanjaro zaliczane do Korony Ziemi to najwyższy szczyt Afryki oraz najwyższa na świecie samotnie stojąca góra, a właściwie masyw górski posiadający trzy główne wierzchołki. Jest to także jeden z najwyższych wulkanów posiadający rozległy krater. Dzisiaj nie ma w nim zalegającego wiecznego śniegu gdyż ocieplenie klimatu i tutaj spowodowało przesunięcie granicy jego zalegania. Utrzymuje się on jedynie w górnej części otaczającej płaskie dno krateru.

Dla przeciętnego turysty wybierającego się na Kili ważne są dwa fakty. Pierwszy to długość masywu wynosząca 60 km co w oczywisty sposób przekłada się na trasę jaką należy przebyć by dotrzeć na szczyt, drugi to wysokość względna od podnóża do wierzchołka wynosząca niemal 5 km. Oprócz tego należy przygotować się w odpowiednie buty i odzież, a także, co nie jest bez znaczenia, nastawienie psychiczne. Sama góra nie jest trudna technicznie ale fakt, że aby wejść na szczyt trzeba przejść około 100 km (62 pod górę i 38 w dół) oraz pokonać niemal 5 km różnicy wzniesień, w tym wiele odcinków o nachyleniu 30 stopni, powoduje, że można się załamać. Zwłaszcza, że droga na górę trwa 5 dni, krócej się nie da. Należy pamiętać o konieczności odpowiedniej aklimatyzacji. Chociaż i tak przed

szczytem dotlenienie organizmu utrzymuje się na poziomie 80 %. Jest to na tyle mało, że często brakuje nam oddechu, co wywołuje efekt obawy, że się udusimy, a w rezultacie może doprowadzić do wywołania niepotrzebnego ataku paniki.

Ja wybierając drogę zwaną Machame Route (popularnie zwaną Whiskey) miałem świadomość, że będę szedł jednym z najbardziej widokowych pod względem krajobrazu szlakami. Już pierwszy dzień pokazał, że nie należy się spieszyć. Tempo wchodzenia na Kili różni się bardzo od tego do którego przyzwyczailiśmy się w Karkonoszach. Tutaj im idziesz wolniej tym lepiej. Odcinek do pierwszej bazy leżącej na wysokości 2700 metrów pokonuje się w ciągu jednego dnia idąc przez las deszczowy co z reguły oznacza, iż nie unikniemy spotkania ze sporym opadem. Przy temperaturze wyjściowej 28°C zmoknięcie nie jest problemem. Jeszcze idziemy w krótkich rękawkach. Jednak nocleg w namiotach na wysokości znacznie przekraczającej najwyższy punkt Polski uświadamia, że oto kończą się upały i trzeba będzie zacząć ubierać się nieco cieplej. Dlatego kolejnego dnia pojawiają się już kurtki i bielizna termoaktywna. Chociaż jeszcze idziemy w lżejszych butach. W ciągu dnia musimy znowu przemieścić się o kilometr wyżej.



Foto: Krzysztof Tęcza

Druga noc nie pozostawia już złudzeń. Będzie coraz zimniej. Na razie ubieramy wszystko co mamy. Okazuje się, iż ma miejsce spory przymrozek. Namioty robią się białe od mrozu. Rano zakładamy buty górskie chroniące kostki przed zwichnięciami, wyciągamy kurtki puchowe, czapki, rękawice i pniemy się kolejne setki metrów pod górę. Ze względów aklimatyzacji podchodzimy na wysokość 4500 metrów by po posiłku zejść do bazy położonej kilkaset metrów niżej, gdzie nocujemy.

Ostatni dzień przed atakiem szczytowym ponownie przekraczamy wysokość 4500 metrów. Tutaj kończy się w miarę spokojne podejście. Teraz po zaledwie kilkugodzinnym odpoczynku ruszamy na właściwy atak. Zrywa się mocny wiatr. Przewodnicy każą nam założyć na siebie wszystko co mamy w plecaku. Dochodzi do tego, że na nogach mam 4 warstwy ochronne, ręce chronię 2 parami rękawic, tors opatulam siedmioma warstwami uzupełnionymi dwoma kurtkami, na głowę wdziewam kominiarkę, dwie czapki i dwa kaptury. I wcale nie wydaje się by ochrony było za dużo. Czuć to

zwłaszcza podczas krótkich postojów. Wydaje się wtedy, że zamarzam. Wiatr robi swoje. Na ostatnie podejście ruszam tuż przed północą tak by do wschodu słońca stanąć na górze. Teraz kiedy już wiem jak wygląda zbocze, którym wchodziliśmy myślę, że atak zaczyna się przed północą głównie dlatego by stromość ścian (około 30%) nie przerażała. Na pewno gdybyśmy szli za dnia spora część ludzi zrezygnowałaby i zawróciła. Zwłaszcza, że im wyżej się pieliśmy tym bardziej brakowało nam tchu. Powietrze było coraz bardziej rozrzedzone. Do tego większość ludzi bolała głowa. Mnie na szczęście to ominęło, jednak czułem się tak osłabiony, że sam nie wiem gdzie stawiałem nogi. W tym stanie zmęczenie fizyczne oraz stan ducha były tak podłe, że nawet nie było czasu czy ochoty na jakieś przemyślenia. Po prostu parło się przed siebie byle do przodu. To było ponad nasze siły.

W końcu po niemal 6 godzinach marszu zza gór wychyliło się słońce. Pomarańczowe niebo jakie ujrzelśmy w tym momencie całkowicie zmieniło nasze nastawienie. Nagle poczuliśmy ciepło. Różnica temperatur była tak duża, że musieliśmy zdjąć kilka warstw odzieży. Krajobraz jaki ujrzelśmy w połączeniu z coraz większym ciepłem odczuwalnym poprawiły nam nastroje, spowodowały, że ruszyliśmy z nowymi siłami by wkrótce (po godzinie) dotrzeć na drugi co do wysokości wierzchołek Kili. Stąd już tylko sto metrów i jesteśmy na szczycie.



Foto: Krzysztof Tęcza

Niestety okazało się to tylko złudzeniem. Sto metrów to była tylko różnica wysokości. Zaś do celu dobrze ponad kilometr co przełożyło się na kolejną godzinę podejścia. Ostatnie kilometry pokonywaliśmy w tempie pół kilometra na godzinę. Muszę powiedzieć, że ten odcinek był decydujący. Wielu ludzi się załamywało i nie dochodziło do szczytu. Wielu ludzi było prowadzonych przez przewodników. W ich oczach widać było niesamowity ból, o czym świadczyły płynące łzy. Nie poddawali się jednak. Szli by dotrzeć do celu.

I wreszcie jakimś cudem dotarłem, bez pomocy, ale w stanie granicznego wyczerpania, do końca trasy. Stałem na Uhuru Peak. To niesamowite. Jakież piękny widok rozciąga się z tego miejsca. Mógłbym tak stać i patrzeć do utraty tchu. Niestety przewodnicy po kilkunastu minutach wyganiają nas na dół, każą schodzić niżej, gdyż organizm nie wytrzyma takiego obciążenia. Dobrze, że zdążyłem

zrobić kilkanaście pamiątkowych zdjęć, uściskać z radości nieznanych sobie ludzi i przyjąć gratulacje od naszych opiekunów. Gdy tylko serce nieco się uspokoiło (okazało się, że w tym momencie mój puls wynosił 219 uderzeń na minutę), ruszyłem powoli na dół w stronę bazy.

Jak się szybko okazało droga zejściowa nie należała do łatwych. Schodziliśmy doliną wypełnioną pyłem i szlaką wulkaniczną. Ciągłe ześlizgiwaliśmy się w dół, a przecież przed nami 1,5 km różnicy poziomów, które trzeba było pokonać. Zejście trwało wiele godzin, jednak z każdym metrem w dół coraz lepiej się oddychało. A to najważniejsze. W końcu dotarliśmy do bazy gdzie przywitano nas kubkiem soku pomarańczowego. Jakżeż on smakował.



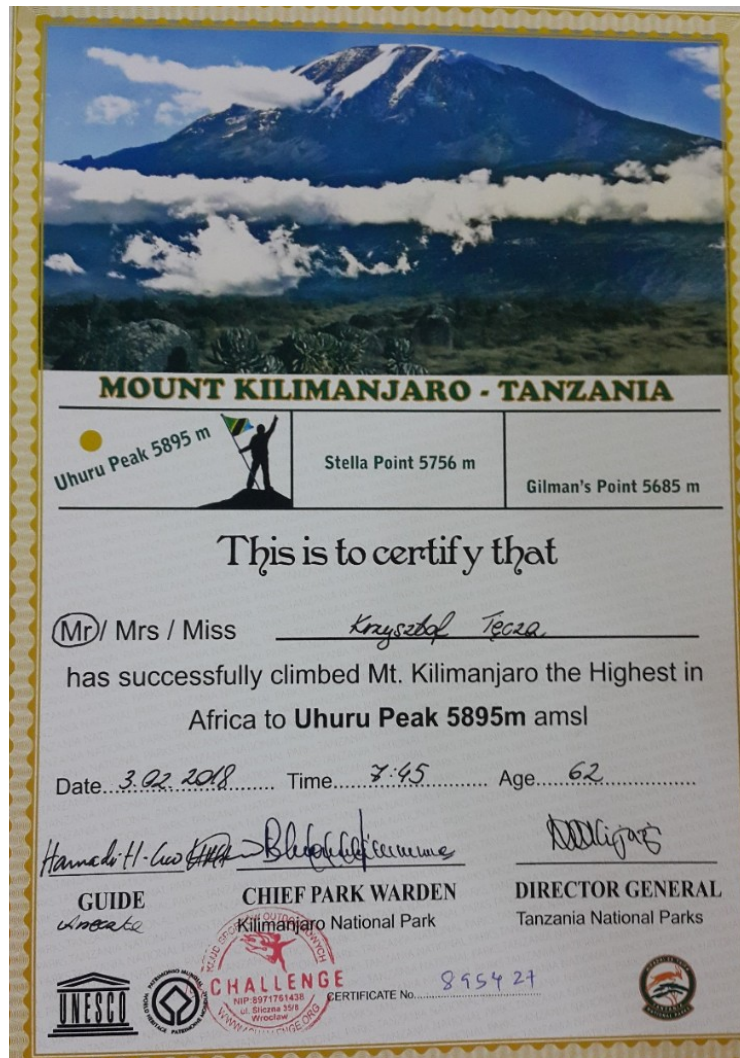
Foto: Krzysztof Tęcza

Teraz godzinka odpoczynku i ponowne zejście do bazy położonej poniżej 4 tysięcy metrów. Dopiero tam mogliśmy przenocować. Co za ulga, wreszcie po prawie dwóch dobach ciągłego marszu a pięciu dniach podchodzenia mamy spokojną noc. Wiemy, że osiągnęliśmy szczyt i teraz już tylko chodzi o to aby bezpiecznie dotrzeć na dół do bramy Parku, gdzie czekają na nas opiekunowie mający przewieźć nas do hotelu na zasłużony odpoczynek.

Najpierw jednak czekała nas niezwykła niespodzianka. Tuż po śniadaniu zaproszono nas na placyk, na którym zgromadzili się wszyscy, którzy opiekowali się nami: właściciel firmy, przewodnicy, tragarze, kucharze. Jak się okazało było ich w sumie 54 osoby. To co teraz nastąpiło było niesamowite. Wszyscy śpiewali piosenki o Kilimanjaro, o górze widocznej nad nami, o górze, która jeszcze do wczoraj była tylko naszym marzeniem. Dzisiaj kiedy już ją zdobyliśmy cieszymy się razem z naszymi opiekunami, tańczymy i śpiewamy z nimi. Radość rozpiera nas wszystkich.

Po tak miłym poranku schodzimy do bramy Parku i udajemy się do przyjemnej restauracyjki na uroczysty lancz. Ale to nie koniec uroczystości. Gdy już wzięliśmy prysznic i przebraliśmy się w czyste odzienie zaproszono nas na uroczystość wręczenia oficjalnych certyfikatów zdobycia Uhuru Peak. To właśnie w tym momencie poczuliśmy, że już jest po wszystkim, że zdobyliśmy naszą wymarzoną górę i wróciliśmy cali i zdrowi do bazy. Muszę przyznać, że to wspaniałe uczucie. Nic dziwnego, że bawiliśmy się do rana.

Teraz kiedy już jestem w domu, w Jeleniej Górze, widzę jak z mojej strony był to szalony pomysł. Ale mając na uwadze, że o wejściu na Kili myślałem już od 20 lat, jestem szczęśliwy, że wreszcie zrealizowałem swoje młodzieńcze marzenie. Dopiero teraz wiem jak bardzo wymagającą jest najwyższa góra Afryki. Wiem, że wejście na nią to nie zwyczajny spacer. Trzeba dużego samozaparcia by dotrzeć na szczyt. Ale, mimo zmęczenia i ryzyka z tym związanego, uważam, że warto było podjąć to wyzwanie.



Myślę, że najlepszym zakończeniem moich słów będzie kilka linijek śpiewanej przez wszystkich tanzańskiej piosenki:

<i>Jambo, jambo Bwana</i>	<i>(Witaj, witaj Panie)</i>
<i>Habari gani? Nzuri sana</i>	<i>(Jak się masz? Bardzo dobrze)</i>
<i>Wegeni mwakaribishwa</i>	<i>(Goście, zapraszamy)</i>
<i>Kilimanjaro Hakuna Matata</i>	<i>(Kilimanjaro nie ma problemu).</i>

Krzysztof Tęcza